

NR INDEKSU 374776
PL. ISSN 0137-8287

NR 6
(1797)
2013

rodzina

MIESIĘCZNIK KATOLICKI • CZERWIEC • CENA 2 ZŁ



Bezprecedensowy apel ekumeniczny

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię (Rdz 1,1)

Ochrona środowiska to nie tylko techniczny problem równowagi ekologicznej, ale także problem moralny i duchowy współczesnego człowieka, który zapomina, że on sam i świat są Bożym stworzeniem – głosi apel podpisany 16 stycznia br. w Warszawie przez zwierzchników Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej oraz przewodniczącego KEP Kościoła Rzymskokatolickiego.

Apel Kościołów w Polsce o ochronę stworzenia

Obecne pokolenie żyje tak, jakby było pokoleniem ostatnim. Dlatego nadszedł czas, by wspólnie zaapelować o zaangażowanie na rzecz ochrony środowiska naturalnego i propagować postawy ekologiczne (wypowiedź ks. dr. A. Aleksiejuka z Kościoła Prawosławnego).

Jak poinformowała prasa, Kościoły różnych wyznań w Polsce podpisały wspólny apel o ochronę stworzenia. Oprócz dominującego wątku ochrony środowiska, w dokumencie tym jest także mowa o wspólnej obronie życia ludzkiego od poczęcia. Ten bezprecedensowy apel ekumeniczny został podpisany jednocześnie przez przewodniczącego Episkopatu Kościoła Rzymskokatolickiego abpa Józefa Michalika oraz siedmiu zwierzchników Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej.

Apel o ochronę „życia człowieka od poczęcia” oraz o politykę „krzewienia życia” stanowi istotny przełom, bowiem do tej pory chrześcijanie różnych wyznań w Polsce nie zajmowali wspólnego stanowiska w tej sprawie. Ochrona życia – od poczęcia do naturalnej śmierci – była, jest i powinna być czymś podstawowym dla każdego chrześcijanina.



Styczeń 2013 r., siedziba Sekretariatu Episkopatu Polski: Przedstawiciele Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej oraz Przewodniczący Episkopatu Polski podpisali wspólny „Apel Kościołów w Polsce o ochronę stworzenia”.

Na zdj. (drugi od strony prawej) Bp Wiktor Wysoczański – zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego

Człowiek jest jednak częścią ekosystemu, tak więc trudno byłoby chronić dzieło stworzenia bez obrony życia człowieka. Wspólny apel o ochronę stworzenia w głównej części poświęcony jest ekologii. Tak więc Kościoły apelują m.in. o redukcję odpadów miejskich, odzyskiwanie i utylizację wysypisk śmieci, oczyszczanie powietrza, wody i gleby. Zwraca się tu uwagę na ochronę lasów oraz zagrożonych gatunków roślin i innych skarbów przyrody.

Apel kończy się słowami: „**Bra-cia i Siostry, żyjąc dzisiaj, pomyślmy o jutrze. Pomyślmy o tym, że my i całe stworzenie jesteśmy powołani do życia w rzeczywistości opisanej w ostatniej księdze Biblii jako „nowe niebiosa i nowa ziemia” (Ap 21,1) Dlatego codziennie dokonujemy odpowiedzialnych wyborów oszczędzających energię i zasoby ziemi oraz szanujemy wszystko, co żyje. Nawet niewielkie, ale konsekwentne działania przyniosą ogromny skutek w ochronie całego stworzenia, które, jak czytamy w pierwszej księdze Pisma Świętego, Bóg uczynił bardzo dobre”** (por. Rdz 1, 31).

NASZA OKŁADKA

Madonna di Foligno – mal. Rafael (1511 – 1512). W lewej, dolnej części obrazu, Rafael namalował św. Jana Chrzyciela i św. Franciszka, po prawej zaś donatora, którego św. Hieronim poleca Najświętszej Maryi Pannie

Relacje Kościoła Polskokatolickiego w RP z Polskim Narodowym Kościołem Katolickim w USA i Kanadzie

Refleksje eklezjologiczne i kanoniczno-prawne*

I

Kościół Polskokatolicki w Rzeczypospolitej Polskiej (noszący w Polsce do 1951 r. nazwę: Polski Narodowy Kościół Katolicki, w skrócie PNKK) powstał w 1898 roku w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jako wyraz protestu emigrantów polskich przeciwko dyskryminacji Polaków, stosowanej przez duchowieństwo pochodzenia niemieckiego i irlandzkiego. Organizatorem i przywódcą duchowym Kościoła był rzymskokatolicki duchowny Franciszek Hodur (1866-1953). Impulsem do zorganizowania PNKK było patriotyczne, narodowe podejście do spraw religijnych. Głównym celem, jakim się kierował organizator Kościoła była obrona interesów narodowych, podtrzymanie polskości wśród polonii amerykańskiej. Po śmierci (14 stycznia 1907) pierwszego biskupa starokatolickiego w USA z siedzibą w Chicago, Antoniego Kozłowskiego (1857-1907), wcześniej wybrany przez synod na biskupa – Franciszek Hodur nawiązał bliższe kontakty z Unią Utrechcką Kościołów starokatolickich. Po wieloletnich staraniach otrzymał on w katedrze św. Gertrudy w Utrechcie (29 września 1907) sakrę biskupią z rąk holenderskich biskupów starokatolickich, posiadających sukcesję apostołską. Głównym konsekratorem był arcybiskup Utrechtu Gerhardus Gul (1847-1920), kolejny następca i spadkobierca sukcesji apostołskiej po św. Willibrordzie (†739), apostołe Fryzów i pierwszym biskupie Utrechtu.

Elekt F. Hodur przed przyjęciem w Utrechcie sakry biskupiej podpisał *Deklarację Utrechcką* z 24 września 1889 roku oraz *Umowę Biskupów Starokatolickich zjednoczonych w Unii Utrechckiej* i *Regulamin* z tegoż roku. Znowelizowany tekst tej *Umowy* i *Regulaminu* został uchwalony przez Międzynarodową Konferencję Biskupów Starokatolickich (MKBS) we Wrocławiu dnia 25 maja 2000 roku.

Deklaracja Utrechcka jest podstawowym dokumentem doktrynalnym wspólnoty starokatolickiej, w którym ściśle zostały sprecyzowane starokatolickie zasady wiary. Dokument ten obowiązuje dotąd w niezmienionej wersji, tj. od 1889 roku. Nawiązując do niego wszystkie oświadczenia wydane później przez MKBS, jako najwyższy organ Unii Utrechckiej.

Przypomnijmy więc zasady zawarte w tym dokumencie.

Na wstępie *Deklaracji* biskupi oświadczają, że zachowują starokatolicką zasadę, wypowiedzianą przez św. Wincentego z Lerynu w zdaniu: *Id teneamus, quod ubique, quod semper, quod ab omnibus creditum est; hoc est etenim vere proprieque catholicum* [Trzymamy się tego, co wszędzie, co zawsze, co przez wszystkich było wyznawane, to jest bowiem prawdziwie i rzeczywiście katolickie].

W *Deklaracji Utrechckiej* wspólnota Unii Utrechckiej, utworzona w czasach pierwszego soboru watykańskiego, wyznaje tę wiarę katolicką, która została wyrażona

w Kościele na Wschodzie i na Zachodzie przez siedem pierwszych Soborów ekumenicznych. Potwierdza ona historyczne pierwszeństwo Biskupa Rzymu, jako *primus inter pares*, odrzuca jednak dogmaty papieskie tego Soboru i liczne inne papieskie oświadczenia, o ile są one sprzeczne z nauką starego Kościoła. *Deklaracja* potwierdza swą wiarę w istotę i tajemnicę Eucharystii.

Unia Utrechcka poczuwa się do obowiązku uczynienia wszystkiego, co pomaga przewycięzać rozłam w Kościele oraz – na podstawie wiary niepodzielnego Kościoła – do poszukiwania i potwierdzania wspólnoty z innymi Kościołami. W punkcie siódmym *Deklaracji Utrechckiej* czytamy: „Mamy nadzieję, że dzięki wysiłkom teologów i w oparciu o wiarę niepodzielnego Kościoła uda się osiągnąć porozumienie w sprawie różnic powstałych od czasów rozłamów kościelnych. Wzywamy podległych naszemu kierownictwu duchownych, aby w głoszeniu Słowa i nauczaniu w pierwszym rzędzie podkreślali istotne prawdy wiary chrześcijańskiej, wyznawane wspólnie przez rozdzielone kościołnie wyznania; przy omawianiu zaś istniejących jeszcze sprzeczności należy starannie unikać wszelkiego naruszania zasad prawdy i miłości, a członków naszych wspólnot, za pomocą słowa i przykładu, należy tak pouczać, aby wobec inaczej wierzących zachowywali się zgodnie z duchem Jezusa Chrystusa, który jest Zbawicielem nas wszystkich”.

W punkcie ósmym tegoż dokumentu biskupi starokatolicy wyrażają przekonanie, iż „przez wierne zachowywanie nauki Jezusa Chrystusa, odrzucając różne błędy spowodowane winą ludzi, wszelkie nadużycia kościelne i dążenia hierarchiczne – najsukuteczniej przeciwdziałamy niewierze i obojętności religijnej, które są najgorszym złem naszej epoki”. Jest przeto rzeczą znamionną, że *Deklaracja Utrechcka* nie ustanawia żadnej nowej zasady wiary, przeciwnie – nawołuje do powrotu do zasad wiary starego, niepodzielnego Kościoła.

W preambule do obowiązującego od 25 maja 2000 roku Statutu Biskupów Starokatolickich zjednoczonych w Unii Utrechckiej, biskupi starokatolicy – przedstawiając podstawy eklezjologiczne Unii Utrechckiej – stwierdzają: „Unia Utrechcka jest wspólnotą Kościołów i kierujących nimi biskupów, zdecydowanych na zachowywanie i przekazywanie wiary, kultu i prawdziwej struktury niepodzielnego Kościoła pierwszego tysiąclecia. W dniu 24 września 1889 roku biskupi zebrani w Utrechcie udukowali to postanowienie w trzech tekstach, które razem tworzą *Konwencję Utrechcką*, składają się na nią: *Deklaracja*, *Umowa*, i *Regulamin*. (Celowo to powtarzam i podkreślam – W. W.). W swym zjednoczeniu Konferencja Biskupów, do której później przyłączyli się kolejni biskupi, daje wyraz ponadto pełnej wspólnoty kościelnej reprezentowanych przez nich Kościołów”.

Kościół Polskokatolicki nie uznaje ordynacji kobiet, należy jednak do Unii Utrechckiej, podobnie jak jest członkiem Światowej Rady Kościołów, Konferencji Kościołów Europejskich i Polskiej Rady Ekumenicznej. PNKK w USA i Kanadzie od 2003 r. znajduje się poza Unią Utrechcką.

II

Duchowni PNKK w grudniu 1919 r. podjęli starania o zorganizowanie tegoż Kościoła w Polsce niepodległej. Tu jednak PNKK nie znalazł sprzyjających warunków i możliwości normalnego rozwoju. Organy władzy i administracji państwowej II Rzeczypospolitej, wspierane przez duchowieństwo rzymskokatolickie, skutecznie utrudniały i hamowały rozwój młodej wspólnoty wyznaniowej. Podejmowane starania o uznanie prawne w II Rzeczypospolitej zakończyły się niepowodzeniem.

Na V Synodzie Generalnym, który się odbył w Scranton w dniach 15-16 lipca 1924 roku podjęto uchwałę o erygowaniu diecezji PNKK w Polsce z siedzibą w Krakowie. Diecezją tą kolejno zarządzali następujący biskupi: Franciszek Bończak (1881-1967), Władysław Marcin Faron (1891-1965) i Józef Padewski (1894-1951). Diecezja ta była częścią składową PNKK w USA, należącego do Unii Utrechckiej Kościołów Starokatolickich, stąd wszyscy trzej wymienieni biskupi byli członkami MKBS.

Uznanie prawne Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, nastąpiło decyzją ministra Administracji Publicznej. W piśmie Ministerstwa Administracji Publicznej z dnia 1 lutego 1946 roku, skierowanym do Rady PNKK w Warszawie, stwierdzono: „Ministerstwo Administracji Publicznej uznaje na zasadzie art. 116 Konstytucji z 17 marca 1921 roku Polski Narodowy Kościół Katolicki za publiczno-prawny związek religijny. Stosunek Państwa do Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego określony zostanie w drodze osobnej ustawy”. W ten sposób Kościół uzyskał wszystkie uprawnienia przewidziane przez artykuły 113 i 115 Konstytucji, m.in. prawo nabywania, posiadania majątku ruchomego i nieruchomego, zarządzania nim i rozporządzania oraz rządzenia się własnym prawem, czyli autonomię i samorządność.

W ramach posiadanych uprawnień władze PNKK dokonały w 1951 r. zmiany nazwy na Kościół Polskokatolicki. Główną przesłanką tej zmiany było uwolnienie się od podejrzeń o współpracę z władzami amerykańskimi i uzyskanie niezależności od PNKK w USA. Dodajmy, że starania Kościoła Polskokatolickiego o ową osobną ustawę, podejmowane w latach 1947-1950, zakończyły się niepowodzeniem.

Usamodzielnienie się Kościoła w Polsce zostało formalnie potwierdzone przez wszystkie Synody Kościoła Polskokatolickiego w Polsce i przyjęte do wiadomości przez PNKK w USA oraz zaakceptowane przez MKBS, jako najwyższy organ Unii Utrechckiej. Biskupi zwierzchnicy Kościoła Polskokatolickiego w Polsce w latach 1951-1959 (od 1957 roku tylko bp J. Pękala) *formalnie nie byli członkami MKBS*, a w związku z tym i *Kościół formalnie nie należał do wspólnoty starokatolickiej Unii Utrechckiej*. Unormowanie eklezjalno-kanoniczne nastąpiło dopiero w 1959 roku, co wiązało się z osobą nowego zwierzchnika Kościoła bpa dr. Maksymiliana Rodego (1911-1999).

Przedstawiona powyżej sytuacja kanoniczna Kościoła Polskokatolickiego wymagała podjęcia energicznych i konsekwentnych działań ze strony zwierzchnich władz kościelnych, co wiązało się z koniecznością zmian perso-

nalnych. W dniu 20 grudnia 1958 roku powołano wikariusza generalnego w osobie ks. dra M. Rodego, związanego z Kościołem Polskokatolickim od października 1957 roku. Następnie w dniu 21 lutego 1959 roku zarządzono zwołanie Synodu na 16-17 czerwca 1959 roku do Warszawy. Za konieczne uznano możliwie jak najszybsze wyświetlenie sprawy wzajemnego stosunku i unormowania współdziałania między PNKK w USA i Kościołem Polskokatolickim w Polsce. W tym celu nowo mianowany wikariusz generalny ks. dr M. Rode w towarzystwie ks. kanclerza T. Majewskiego udał się do USA, gdzie przebywał w dniach 3-29 maja 1959 roku. Podczas licznych spotkań i konferencji z biskupami uzgodniono, że oba Kościoły, z wyjątkiem drobnych różnic, mają tę samą podstawę doktrynalną, są faktycznie jednym Kościołem, rządzonym w poszczególnych krajach przez swoje odrębne kierownictwo wybierane na Synodach. O uzgodnieniach poinformowano ówczesnego Arcybiskupa Utrechtu.

Na posiedzeniu członków Kurii Biskupiej i Konsystorza w dniu 8 czerwca 1959 roku dotychczasowy ordynariusz Kościoła bp J. Pękala ustąpił ze swego stanowiska, a Rada Kościoła na swej sesji w dniu następnym wybrała na ten urząd ks. dra M. Rodego. Odbyty w Warszawie IV Synod Ogólnopolski owacyjnie poparł i przez głosowanie jawne (podobnie jak i na poprzednim Synodzie w 1952 roku), jednomyślnie (przy jednym głosie wstrzymującym się), zatwierdził kandydaturę elekta M. Rodego na stanowisko biskupa ordynariusza Kościoła Polskokatolickiego. *Synod potwierdził jedność Kościoła Polskokatolickiego z PNKK w USA „w świętej wierze katolickiej w oparciu o Pismo Św. i Tradycję oraz w oparciu o uchwały i naukę siedmiu Soborów powszechnych, z tym, że oba Kościoły, tworząc faktyczną jedność dogmatyczną i liturgiczną mają własne i niezależne kierownictwo wybrane przez najwyższą władzę, tj. przez swoje Synody”*. Święceń biskupich elektowi M. Rodemu udzielił w starokatolickiej katedrze św. Gertrudy w Utrechcie w dniu 5 lipca 1959 roku Pierwszy Biskup PNKK Leon Grochowski (1886-1969) przy współudziale arcybiskupa Utrechtu Andreasa Rinkla (1889-1979) i bpa Ursa Kury'ego (1901-1976). Biskupowi J. Pękali powierzono funkcję współpracownika ordynariusza Kościoła, później zaś ordynariusza diecezji wrocławskiej.

Nadanie elektowi M. Rodemu sakry biskupiej ma dla Kościoła Polskokatolickiego bardzo ważne znaczenie. Przez ten akt nowo konsekrowany biskup został przyjęty w poczet członków MKBS, **Kościół Polskokatolicki zaś stał się pełnoprawnym członkiem Unii Utrechckiej, podobnie jak PNKK w USA i Kanadzie. Odtąd bowiem Kościół Polskokatolicki w Polsce w stosunkach z Unią Utrechcką, w tym także z PNKK w USA i Kanadzie, występuje jako całkowicie samodzielny pod względem administracyjnym i jurysdykcyjnym. Wszyscy późniejsi biskupi polskokatolicki są członkami MKBS, jako najwyższego organu Unii Utrechckiej.**

W październiku 1965 roku gwałtownie odsunięto bpa M. Rodego od zwierzchnictwa nad Kościołem, co odbyło się przy poparciu ówczesnych władz partyjno-rządowych i przy zaangażowaniu ówczesnego Pierwszego Biskupa PNKK L. Grochowskiego. O fakcie przyczynienia się bpa L. Grochowskiego do odsunięcia bpa M. Rodego od steru rządów w Kościele Polskokatolickim poinformował późniejszy Pierwszy Biskup PNKK (1969-1978) Tadeusz Zieliński (1904-1990) w piśmie z 9 marca 1975 roku, skierowanym do ówczesnego kierownika Urzędu do Spraw Wyznań ministra Kazimierza Kąkola oraz prezesa Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Biskup T. Zieliński pisał: „Duchowieństwo i wierni

Kościół Narodowy w USA i Kanadzie kierują do Pana Ministra – za moim pośrednictwem – gorącą prośbę o łaskawe rozpatrzenie możliwości przywrócenia ks. biskupowi Maksymilianowi Rodemu praw i przywilejów, jakie miał przed dziesięciu laty w Kościele Polskokatolickim w PRL (...). Kościół Narodowy w Polsce został przez nas założony i był pod naszą wszechstronną opieką do czasu uzyskania autokefalii. Ale chociaż jest administracyjnie od nas niezależny, jego dalsze losy bardzo nas interesują. W trosce o jego rozwój przyczyniliśmy się przed dziesięciu laty do odsunięcia bpa Rodego od odpowiedzialności za losy Kościoła w Polsce, lecz obecnie z ubolewaniem stwierdzamy, że ówczesne stanowisko nasze w tej sprawie nie było słuszne. Chcemy to naprawić (...), prosimy o przywrócenie mu kościelnych praw, jakie miał przed październikiem 1965 roku”. Prośba okazała się bezskuteczna.

Po kadencji bpa M. Rodego zwierzchnikami Kościoła byli kolejno: bp J. Pękała w latach 1965-1975 i bp T. Majewski w latach 1975-1995. Od roku 1995 godność tę pełni autor niniejszego artykułu.

III

Powracając do statusu prawnego Kościoła Polskokatolickiego, należy podkreślić, że stan tymczasowości trwał ponad 48 lat. Zbliżające się zmiany polityczno-ustrojowe w Polsce w 1989 roku okazały się w skutkach błogosławione dla Kościoła Polskokatolickiego oraz innych Kościołów i związków wyznaniowych.

Od maja 1988 do kwietnia 1989 roku współprzewodniczyłem – ze strony Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej – zespołowi redakcyjnemu przygotowującemu projekt ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania, uchwalonej przez Sejm w dniu 17 maja 1989 roku. Po wejściu w życie tejże ustawy rozpoczęto prace nad projektem ustawy o stosunku Państwa do Kościoła Polskokatolickiego w RP. Toczyły się one – pod moim przewodnictwem ze strony Kościoła Polskokatolickiego – od 27 listopada 1989 roku, przez kilka miesięcy. Finalizację tego projektu, w zasadzie uzgodnionego przez zespół rządowo-kościelny, przewidywano wiosną 1990 roku, lecz dalszy bieg legislacyjny został zastopowany przez odnośne organy administracji państwowej. Toteż w czasie późniejszym tekst ten stał się projektem poselskim.

Pracę nad projektem ustawy o stosunku Państwa do Kościoła Polskokatolickiego bardzo utrudniała postawa mojego poprzednika w urzędzie biskupim – bpa T. Majewskiego, ówczesnego zwierzchnika Kościoła. Otóż, jak wiadomo, ówczesny zwierzchnik Kościoła, bp. T. Majewski – mimo swych niekórych zasług dla Kościoła – świadomie lekceważył w ostatnich latach swego 20-letniego kierowania Kościołem ustrój synodalny i latami nie zwoływał Synodu. Nie przestrzegał norm prawa kościelnego, w szczególności zaś norm akcentujących rolę Synodu Kościoła jako najwyższej, prawodawczej władzy w Kościele. Obniżało to rangę Kościoła i ośmieszało go w kraju i za granicą. Ponadto, zdaniem ówczesnych władz państwowych, opartym na przepisach obowiązującego *Podstawowego Prawa Kościoła Polskokatolickiego w PRL* z 1987 roku, władze kościelne utraciły legitymację do działania w związku z upływem 7-letniej kadencji. Stanowisko Rządu w tej sprawie zostało zaprezentowane w toku prac parlamentarnych, było także transmitowane w telewizji. Jednakże, mimo różnorodnych trudności, ustawa o stosunku Państwa do Kościoła Polskokatolickiego w RP została uchwalona przez Sejm w dniu 30 czerwca 1995 roku, co ma dla Kościoła znaczenie historyczne i prestiżowe.

A oto odnośne artykuły ustawy z dnia 30 czerwca 1995 roku o stosunku Państwa do Kościoła Polskokatolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej (Dz. U. z dnia 23 sierpnia 1995 r. Nr 97, poz. 482, z późn. zm.):

Art. 1.1. Ustawa określa stosunek Państwa do Kościoła Polskokatolickiego w RP oraz jego sytuację prawną i majątkową.

Art. 2.1. Kościół jest samodzielny i niezależny organizacyjnie od jakiegokolwiek zagranicznej władzy kościelnej i świeckiej.

2. Kościół pozostaje w jedności wiary i moralności z Polskim Narodowym Kościołem Katolickim w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanadzie.

3. Kościół jest członkiem Unii Utrechckiej Kościołów Starokatolickich.

4. Kościół może należeć do innych krajowych i międzynarodowych organizacji o charakterze ekumenicznym i międzywyznaniowym.

Art. 4. Kościół rządzi się w swoich sprawach własnym Prawem Wewnętrznym, swobodnie wykonuje władzę duchowną, jurysdykcyjną i samodzielnie zarządza swoimi sprawami.

Uchwalone przez Synod Ogólnopolski Kościoła Polskokatolickiego w dniu 27 czerwca 1995 roku, i znowelizowane przez Synody Ogólnopolskie 30 czerwca 1998 r., 20 czerwca 2003 r. oraz 18 czerwca 2008 r. Prawo Wewnętrzne Kościoła Polskokatolickiego stanowi, co następuje:

Kanon 3:

„Zachowując niezależność jurysdykcyjną i odrębną administrację, Kościół Polskokatolicki pozostaje w jedności wiary i moralności z Polskim Narodowym Kościołem Katolickim w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanadzie;

a) utrzymuje stały kontakt i współpracę ze środowiskami PNKK w USA i Kanadzie;

b) wspomaga umacnianie wśród Polonii więzi z krajem ojczystym;

c) dba w Polsce o dobre imię Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanadzie”.

Kanon 4:

„§ 1. Biskupi Kościoła Polskokatolickiego są członkami Międzynarodowej Konferencji Biskupów Starokatolickich Unii Utrechckiej i reprezentują Kościół Polskokatolicki w Unii Utrechckiej.

§ 2. Biskupi Kościoła Polskokatolickiego przyjmują jako obowiązujące ich i cały Kościół Oświadczenie Biskupów Starokatolickich z 24 września 1889 r.”.

W tym kontekście, celowym jest przytoczenie oświadczenia ówczesnego Pierwszego Biskupa PNKK w USA i Kanadzie Roberta Nemkovicha na Synodzie Ogólnopolskim Kościoła Polskokatolickiego w Warszawie w dniu 20 czerwca 2003 r.:

Bp Robert Nemkovich: „Musimy pamiętać, że jesteśmy Kościołami o dwu różnych jurysdykcjach, choć wyrosłych z tego samego pnia. Macie tu, w Polsce, swojego Pierwszego Biskupa, biskupów i kapłanów, my w USA i Kanadzie mamy swoich. Życie bez kłopotów – to nie jest życie. Zawsze będą kłopoty, problemy, ale musimy pamiętać o haśle naszego Kościoła: „Prawdą, Pracą, Walką Zwyciężymy”.

Odpowiedzią Przewodniczącego obrad, bpa Wiktora Wysoczańskiego, były słowa:

„Dziękujemy Pierwszemu Księdzu Biskupowi za tę wypowiedź, za zajęcie klarownego i jednoznacznego stanowiska na Synodzie w Warszawie. Mamy jasność w tym przedmiocie. Stanowisko to wiąże oba Kościoły”.

* Niniejszy artykuł jest nową, zmienioną wersją mojego tekstu opublikowanego w „Rodzinie” nr 6/2003.

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI W POLSCE

Odbudowa Kościoła, jego sytuacja prawna, autokefalizacja i zmiana nazwy.

Po opuszczeniu w sierpniu 1944 r. ziem polskich przez ks. Fryderyka Lachmayra, Kościół nie miał centralnego kierownictwa, co doprowadziło do zupełnego rozbitcia organizacyjnego. Stan taki trwał do czasu całkowitego wyzwolenia kraju spod okupacji hitlerowskiej. Wprawdzie pojedyncze parafie istniały nadal, lecz z uwagi na brak między księżmi wzajemnego kontaktu i jakiejś siły koordynującej ich działalność, wielu parafiom groziło szybkie wygaśnięcie życia duszpasterskiego. Aby temu zapobiec, aktywniejsi księża i wierni organizowali na poszczególnych terenach tymczasowe zwierzchnie ośrodki kościelne.

Najwięcej inicjatywy w tym względzie przejawiała grupa duchowieństwa z Lubelszczyzny, pełna ufności oraz wiary w nowe, lepsze jutro i optymizmu (może na wyrost), która silnie zaktywizowała się, zwłaszcza po wyzwoleniu tego rejonu Polski, utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz ogłoszeniu przezeń w dniu 22 lipca 1944 r. Manifestu, proklamującego m.in. wolność sumienia i wyznania. Księża ci, po przykrych doświadczeniach z okresu międzywojennego (prześladowanie i dyskryminacja duchowieństwa i wiernych PNKK), zbyt łatwo uwierzyli w szczerą intencję nowych władz, których polityka bezpośrednio po zakończeniu II. wojny światowej „ulegała poważnym wahaniom”. Tak więc po wspólnych naradach i konsultacjach, księża w stosunkowo krótkim czasie opracowali obszerny memoriał i złożyli go w Departamencie Wyznaniowym PKWN wraz z prośbą o prawne uznanie PNKK w Polsce. Do podania dołączono statut Kościoła. Pierwsze podanie, do którego nawiążemy jeszcze w innym miejscu, nosi datę 20 września 1944 r., a podpisał je jeden z najaktywniejszych wówczas duchownych ks. Franciszek Koc (1913-1983), od 1969 r. biskup. Odpis owego podania przedstawiono przewodniczącemu PKWN, Edwardowi Osóbka-Morawskiemu (1909-1997) przy piśmie księży Edwarda Gajkośa i Franciszka Koca (występujących w imieniu „Rady Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Polsce” z siedzibą w Lublinie)

z dnia 29 grudnia 1944 r. Teraz jako reprezentanci Rady PNKK złożyli swe podpisy na odpisie dokumentu następujący księża: Edward Gajkoś, Franciszek Koc, Bohdan Tymczyszyn (1912-1976), Edward Jakubas (1905-1997), Edward Narbutt-Narbuttowicz (1912-1965), Roman Powaska oraz kilka osób świeckich. Mowa tu oczywiście o Tymczasowej Radzie Kościoła, istniejącej od zjazdu duchowieństwa wyzwolonego rejonu Polski, odbytego we wrześniu 1944 r. w Lublinie. Jej skład osobowy ulegał zmianom, a w połowie stycznia 1945 r. przedstawiał się następująco: ks. Franciszek Koc, ks. Józef Kwolek (1894-1969), ks.



Katedra polskokatolicka pw. Św. Ducha w Warszawie

Edward Gajkoś, ks. Marcin Tymczak (1908-1983), ks. Edward Jakubas i osoba świecka – Józef Gutkowski.

Tymczasową Radę Kościoła utworzono także w Generalnym Gubernatorstwie. W dniu 29 grudnia 1944 r. (a więc na krótko przed ofensywą zimową) zebrał się w Krakowie księża: Jerzy Czerwiński (1909-1977), administrator parafii w Krakowie (przy ul. Łagiewnickiej), Julian Pękała (1904-1977), proboszcz parafii w Warszawie i Franciszek Rumiński (1907-1972), proboszcz parafii w Dobrzkowie k. Tarnowa, oraz osoby świeckie (członkowie przedwojennej Rady Kościoła): Helena Szeleścina-Morawska (1888-1970) z Warszawy i Stanisław Wicher (1884-1970) z Krakowa. Obecny był także mecenas Henryk Świątkowski (1896-1970). Uczestnicy spotkania wybrali ks. J. Pękałę na stanowisko tymczasowego administratora PNKK, który miał pełnić tę funkcję do czasu wyzwolenia całego kraju i wybo-

ru nowych władz zwierzchnich przez przedstawicieli Kościoła. Był to skład (z wyjątkiem mecenasa H. Świątkowskiego) drugiej Tymczasowej Rady Kościoła, która miała za zadanie przede wszystkim opiekę nad parafiami położonymi na ziemiach polskich, wtedy jeszcze okupowanych przez wroga. Owa Rada, z tymczasowym administratorem PNKK, praktycznie nie przejawiała większej aktywności.

Po wyzwoleniu ziem polskich zachodziła pilna konieczność utworzenia prężnego kierownictwa kościelnego, czego mógł dokonać ogólny zjazd duchowieństwa. I tym razem z inicjatywą wystąpili duchowni z Lubelszczyzny. W dniu 2 marca 1945 r. zebrał się w Lublinie księża: Edward Gajkoś, Franciszek Koc, Stanisław Piekarz (1902-1951), Marcin Tymczak i Kazimierz Wandałowski (1907-1965), którzy opracowali apel do wszystkich księży, aby w dniu 20 marca zgromadzili się na ogólnym zjeździe w Warszawie przy ul. Hożej 31 m. 1, celem dokonania wyboru Rady Kościoła. Zjazd odbył się w zapowiedzianym terminie i miejscu, a jego obradom przewodniczył ks. S. Piekarz. Uczestnicy zjazdu dokonali wyboru Rady Kościoła, uważanej odtąd za wyłączne przedstawicielstwo Kościoła (jej skład osobowy wkrótce uległ zmianom) oraz opracowali memoriał do władz państwowych w sprawie prawnego uznania Kościoła. W wydanej przez zjazd odezwie poinformowano księży proboszczów, członków Rady Kościoła i Komitety Parafialne w Polsce, że odtąd Kościołem na co dzień będzie kierować Sekretariat Rady Kościoła z siedzibą w Warszawie przy ul. Szwoleżerów 4. Kierownictwo Sekretariatu objął ks. S. Piekarz, który – z uwagi na dążenie do szybkiego zdobycia biskupstwa w Kościele – został na sesji Rady Kościoła w dniu 25 kwietnia 1945 r. (a więc po miesiącu) pozbawiony owej funkcji i odsunięty od rządów w Kościele. Jego następcą został ks. J. Kwolek, proboszcz parafii w Bażanówce. Ks. S. Piekarz wyjechał do Gdańska, gdzie zajął się organizowaniem parafii pw. Bożego Ciała, a parafię w Warszawie przejął po nim ks. E. Narbutt-Narbuttowicz, późniejszy sekretarz Rady Kościoła.

cdn.

Pół wieku parafii pw. Matki Bożej Różańcowej w Sanoku

Sanok – uroczne miasto w województwie podkarpackim, liczące blisko 40 tys. mieszkańców, może poszczycić się wielością chrześcijańskich wspólnot wyznaniowych, nie tylko tolerujących się, ale uznających swoje prawa do wolności i rozwoju. Obok rzymskokatolików, prawosławnych, grekokatolików, chrześcijan tradycji ewangelicznej, obecni są również polskokatolicy.

To oni w dniu 7 października 2012 r. wraz ze swoim proboszczem i dziekanem ks. Ryszardem Rawickim obchodzili jubileusz 50-lecia parafii, w którym miałem zaszczyt uczestniczyć. Jestem bardzo wdzięczny Ks. Dziekanowi za zaproszenie na jubileusz. Podkarpackie jest bowiem szczególnie bliskie mojemu sercu ze względu na wcześniejszą pracę duszpasterską na tym terenie, na ludzi, z którymi zaprzyjaźniłem się i którym wiele zawdzięczam. Zawsze chętnie przyjeżdżam do Sanoka, przy okazji planując wyprawę w Bieszczady.

Parafia Polskokatolicka w Sanoku powstała w wyniku naturalnej potrzeby opieki duszpasterskiej nad osiedlającymi się tutaj parafianami zamieszkującymi wcześniej parafię w Bażanówce czy Jaćmierzu. Z czasem do sanockiej wspólnoty przyłączali się inni wierni poszukujący własnej drogi do Boga. Ks. Dziekan nigdy nie odmawiał pomocy duchowej potrzebującym. Dla każdego miał czas i dobre słowo. Ks. Ryszard Rawicki jest organizatorem i jedynym proboszczem od początku istnienia tutejszej parafii. O minionych 50. latach mówił ze łzami w oczach. Nie było łatwo. Obiekt, który udało się zagospodarować na potrzeby kultu religijnego, wymagał generalnego remontu i przebudowy. Dzisiaj w niewielkiej świątyni jest wszystko, czego potrzeba do jej funkcjonowania.

Na jubileusz, jak zwykle przy podobnych okazjach, przybyli „sąsiedzi” – proboszczowie parafii polsko-



Msza św. Jubileuszowa w świątyni pw. Matki Bożej Różańcowej w Sanoku (7.10.2012 r.)

katolickich: z Bażanówki – ks. Andrzej Pastuszek, z Jaćmierza – ks. Jerzy Uchman; z Łęk Dukielskich – ks. Roman Jagiełło. Czuję się bardzo uprzywilejowany ze względu na przewodniczenie dziękczynnej Eucharystii, jak i możliwość wygłoszenia kazania. Starłem się zachęcić wszystkich do odmawiania różańca, podając przykłady osób z pierwszych stron gazet, z telewizji, które nie wstydzą się publicznie pokazywać z różańcem w rękę, mówić o swojej wierze w Boga, o radości płynącej z zaufania do Boga ja-

ko „Reżysera” naszego życia. Sama Najświętsza Maryja Panna zachęca do tej modlitwy, nazywając się Matką Bożą Różańcową.

Dziękując jeszcze raz za zaproszenie, życzę ks. dziekanowi Ryszardowi i wszystkim wiernym parafii sanockiej opieki Matki Bożej, która w Kanie Galilejskiej pierwsza zauważyła potrzeby ludzi, mówiąc do Jezusa: „Synu, wina nie mają”. Niech tego wina naszej wspólnoty w Sanoku nigdy nie zabraknie.

Ks. Leszek Kołodziejczyk

Pamiątkowe zdjęcie wykonane 7 października 2012 r. z okazji 50-lecia parafii. Duchowni i wierni przed świątynią pw. MB Różańcowej w Sanoku





Życie człowiek

„Syn Człowieczy przyszedł po to na ziemię i po to złożył Kościół, aby pomóc człowiekowi w walce o wyższe, doskonalsze życie, w poszukiwaniu Prawdy i odniesieniu ostatecznego zwycięstwa, czyli w osiągnięciu wiecznego zbawienia. Ku temu celowi mają służyć:

1) Jego nauka o Boskim pierwiastku w człowieku. - Jako dziecko Boże, ma człowiek ogromne, przepiękne, choć trudne zadanie na świecie. Ma realizować na ziemi, w duchowo-materialnym bytowaniu, Boże plany, Boże zamiary, Boże ideały dobroci, łaskawości, piękna, sprawiedliwości, wytrwałej a twórczej pracy, a wszystko w tym celu, by mogło zaistnieć na ziemi w widzialnej formie Społeczeństwo Boże.

2) ... Aby człowiek nie ustał w tej pracy, ma mu Kościół pomagać tymi środkami i sposobami, które ustanowił Chrystus, a złożył jako depozyt w Arce Nowego Przymierza. Środkami tymi są: ewangelia, modlitwa i ciągle, widoczne obcowanie człowieka z Bogiem przez tajemnicze symbole, zwane sakramentami, czyli świętymi czynnościami, udoskonalającymi i uświęcającymi człowieka.

3) Życie i śmierć Syna Człowieczego. – Słusznie mówią łańskie przysłowie, że verba volant, scripta manent – słowa ulatują, giną, a pismo pozostaje, ale jeszcze słuszniej to drugie: verba movent, exempla trahunt – słowa poruszają, a przykłady pociągają. Syn Człowieczy życiem i śmiercią nauczał ludzi, jak pełnić wolę Bożą, jak służyć Sprawie Jego Świętej. Żył na ziemi w pierwszym przełomie wieków, ale nie cofnął się nigdy przed spełnieniem swego mesjańskiego obowiązku. Ojciec niebieski złożył na Niego ubóstwo, życie między wyrzutkami ludzkiego społeczeństwa, postawił na Jego drodze zażartych wrogów, obrońców kłamstwa, obłudę, wyzysku i wszelkiej niegodziwości, wreszcie włożył na Jego barki krwawy krzyż, znanie hańby i poniżenia, znak grzechu i zbrodni, a On to wszystko przyjął z pokorą, poddaniem się, niósł, ugiął się, cierpiał i skonał po to, aby nas nauczyć, jak mamy żyć, pełnić wolę Bożą i idąc śladami Syna Człowieczego na tym świecie, spotkać się z Nim w lepszym i udoskonalonym wiekuistym życiu.

Lecz śmierć Syna Człowieczego nie tylko wzbudziła w człowieku nowe siły przykładem Boskiego wzoru. Ona stworzyła, a właściwie objawiła nową fazę stosunku Boga do człowieka, otworzyła, mówiąc po ludzku, Boskie serce po to, aby się już nigdy nie zamknęło, aby z otwartego serca, z Bożej jaźni, płynęły w stronę człowieka święte strumienie łaski: przebaczenia, dobroci, miłosierdzia, chęci poświęcenia się, poczucie sprawiedliwości, obrzyczenie grzechu – zbrodni, pragnienie heroicznego czynów i wieczna, niczym niezaspokojona tęsknota połączenia się z ostatecznym celem – Prawdą i Dobrem – Bogiem.

Z życiem więc i śmiercią Syna Człowieczego rozpoczęła się na ziemi nowa era, nowy okres, okres odczuwania i poznawania Boga nie tylko jako Stwórcy, Budowniczego wszechświata, Prawodawcy i Ojca, ale jako – Zbawiciela, Współpracownika człowieka w jego powolnym rozwoju, w doskonaleniu się i realizowaniu planów Bożych względem materialnego i duchowego świata. Wtedy ziściły się prośby Modlitwy; „Święć się imię Twoje, Przyjdź Królestwo Twoje, Bądź wola Twoja”. (...)

Człowiek zrobi porządek sam na świecie, własnymi rękami, urządzi ziemię i swoje wnętrze sam. Aby doko-

ka na ziemi

nać tego kolosalnego dzieła, nie będzie się oglądał na nikogo i na nic. Nie będzie się kierował żadnymi względami na przeszłość, osoby, uczucia i doświadczenia innych pokoleń. Przeorze ziemię na nowo, pobuduje nowe państwo, nastanie nowy system.

Państwo i rozwój ludzkiego życia będzie stanowił jedno wielkie laboratorium, w którym nie będzie uwzględniony żaden inny czynnik, żaden inny pierwiastek, jak tylko materia, i z tej materii wylaniające się siły i jej własności. Kierownikiem tego ogromnego warsztatu, wspólnej narodowej własności, będzie umysł powołanych do tego przewodników. Będą to wybrańcy, przedstawiciele ludu. Będą niszczyć i budować wszystko w imię pracującego ludu. Będą przeprowadzać rewolucyjne dzieło aż do ostatnich krańców, przeprowadzając eksperymenty polityczne i gospodarcze stosownie do wizji swych wielkich duchowych i teoretycznych wodzów.

Równocześnie prawie rozrósł się do niebywałych rozmiarów inny system za wielkim morzem, w nowym świecie. W państwie wychodźców całego świata.

Tam działa się wszystko pod znakiem i hasłem pracy. Ten był lepszym człowiekiem, dzielniejszym, godnym większej czci i chwały, kto więcej zrobił, kto więcej stworzył i lepiej stworzył te wszystkie dobra i skarby materialne, duchowe i moralne, które stanowią konieczne składniki ludzkiego życia, ludzkiej kultury. Na tym podłożu zaczęło się rozwijać nowe zupełnie społeczeństwo ludzkie, mało podobne do europejskiego czy azjatyckiego. Było to społeczeństwo względnie zadowolonych ludzi. Zwróciło na siebie oczy całego świata. Pociągnęło za morze miliony rozbitek, wykołajeńców, prześladowanych ze względów religijnych, politycznych i społecznych. Zaludniły się pustynie, powstały miasta, rozrósł się do niebywałych rozmiarów wielki przemysł i handel.

Lecz równocześnie z przemianą gospodarczego ustroju, z rozrostem i procesem przetwarzania się nowej ludzkości nowego państwa, z początku ludności mniej więcej jednolitej, o jednakowym społecznym i religijnym poglądzie, a potem ludności różnorodnej pod wieloma względami, straciły na wartości i sile nakazy pierwotnego życia za morzem.

Nie wystarczy dążenie do religijnej i społecznej wolności, nie wystarczy skromne, pracowite życie, nie wystarczy wspomnienie górnicy i zbożnicy przeżytych dni, wychowanie potomstwa w korbach czystej ewangelii, umiłowania nowej ojczyzny i honorowe spełnianie obowiązku, gdzie i kiedy przypadnie to uczynić... Nie, to nie wystarczy dla mieszaniny ludzkiej powstałej z najprzeróżniejszych elementów fizycznych, religijnych, duchowych, moralnych i kulturalnych, zjednoczonych co nieco wspólnym językiem i gonitwą za pieniądzem...

Stare hasła o wartości pracy, o kontentowaniu się skromnością, pięknem, rodzinnym życiem, zastąpią powoli mieszkańcy zamorskiego kraju nowymi wartościami, takimi, jak cześć pieniądza, zdobywanie go za wszelką cenę, bo za niego kupić można wszystko na tym świecie.

Pieniądz stał się równoważnikiem pracy i zasługi, symbolem prawdy, piękna i wszelkich ludzkich poczynań.

Starorzymskie porzekadło: pieniądz jest nerwem rzeczy, ich duszą, bodźcem wszelkiego życia, stanie się jedynym, przez wszystkich uznanym przykazaniem nowe-

go świata. Uznają je religijni i niereligijni ludzie, wytwórcy, handlarze, rolnicy, politycy, wychowawcy młodzieży, bankierzy, filozofowie, poeci, kapłani najprzeróżniejszych wyznań, zbrodniarze i święci, a w końcu uznaje i lud, ciężką pracą zdobywający kawałek chleba.

Pieniądz stał się dla ogromnej większości narodu, nie środkiem prowadzącym do celu, ale bożyszczem, ale samym celem.

Pod wpływem hasła, głoszących radość i potęgę doczesnego życia, wielkość energicznego, pracowitego i mądrego po ziemsku człowieka, zdolnego wydzwignąć się z zaułka miejskiego do godności prezydenta kraju, dyrektora banku, profesora wszechnicy, czy wodza kierowniczych stronnictw, mogącego siłą swego talentu stworzyć w przeciągu krótkiego żywota milionową fortunę i zostać z powrotem żebrakiem, zakwitło w zamorskim państwie bujne, bogate, ale i szalone życie.

W krótkim stosunkowo czasie powstały wielkie fabryki i warsztaty pracy, zdolne dać zajęcie milionom ludzkich rąk, wyżywić i odziać nie tylko wszystkich mieszkańców owego kraju, ale mieszkańców połowy świata, wprawić w ruch koła pędzące siłą wiatru, wody, promieni słońca, fal morskich i utajonych potęg ziemi.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyrosły obok fabryk ludne miasta, niezwyklej wysokości gmachy, prywatne i publiczne teatry, świątynie, hotele, składnice, uczelnie oraz sale publicznych zabaw i zgromadzeń. Wszystko to, co stanowiło bogactwo, potęgę i zmysłową rozkosz Babilonu, Ekbatany, Egiptu i Rzymu, znalazło swój wyraz w Nowym Świecie, powiększone i udoskonalone.

A jednak człowiek nie znalazł w tym wszystkim zadowolenia, zaspokojenia pragnień duszy, prawdziwego szczęścia i tego, co nazywa się od tysiąca lat... zbawieniem. Bogaty i syty, a jednak głodny i nędzny.

Bo oto druga strona medalu!

Wszechpoteżny i wszechstronny przemysł i handel ujmował w swe niszczycielskie kleszcze nie tylko ciało, ale i dusze człowieka. Zmechanizował go, uczynił gorszym od niewolnika, jakim był za Cyrusa, Aleksandra, Cezara, albo późniejszych wieków, kiedy sprzedawano i kupowano człowieka, jak muła, słońca, albo wielbłąda.

Ograniczono jego myśl i fantazję, zmuszono go do spożycia wytworzonych przedmiotów, przykuto go do fabryki, albo nawet pewnego działu fabryk, wtłoczono mu do rąk obraz, książkę i pismo wyprodukowane przez podobnie do niego zmechanizowanego człowieka-robotnika, poetę, filozofa i nauczyciela i kazano mu myśleć, czuć i żyć tak, jak tego wymaga interes wytwórców, bankierów i pospolitych handlarzy.

Pobudowano hale widowisk i zabaw, nie po to, by budzić, uszlachetniać i udoskonalać ludzkiego ducha, wychowywać człowieka, ale po to, by go trzymać na uwięzi, by budzić w nim niskie instynkty, chęć rozkoszy, wyuzdania i zużycia tego wszystkiego, co wytworzy ich fabryka, albo pomniejszy warsztat pracy.

Od oceanu słyszeć można ogłuszający krzyk, a raczej zew: wytwarzać jak najwięcej, zużywać jak najwięcej; rób, twórz, kupuj, jedz, pij, używaj, ubieraj się jak król i baw się jak król! Król nie grzeszył, gdy się bawił i przelewał krew narodu i ty nie grzeszysz, gdy robisz miliony, gdy wyciskasz pot, łzy i miazgę z robotnika, pod tym jednak warunkiem, że puścisz w ruch zdobyte te krwawo miliony: pobudujesz szpitale dla konających robotników,

Św. Jan Chrzciciel



24 czerwca Kościół obchodzi pamiątkę narodzenia św. Jana Chrzciciela. Z tej okazji przypomnijmy postać tego świętego, który zapowiedział przyjście na świat naszego Zbawiciela – Jezusa Chrystusa.

„Zaprawdę powiadam wam: Między narodzonymi z niewiast, nie powstał „większy od Jana Chrzciciela”.

Wyrażenie „powstał” – spotykane na kartach Pisma św. – odnosi się tylko do proroków. Oni bowiem „powstawali” na wezwanie Boga, by w Jego imieniu głosić ludowi prorocze słowa, przekazane im przez Pana. Jednak Jan Chrzciciel przewyższał wszystkich, nie tylko zleconą mu misją, ale również swoim życiem. Zasłużył więc sobie być nie tylko największym z proroków, ale nawet więcej niż prorokiem. Był poprzednikiem Tego, którego prorocy zapowiadali. Dobitnie podkreśla to sekreta ze mszy świętej na uroczystość jego narodzenia, gdzie czytamy: „Nie tylko zapowiedział przyjście Zbawiciela świata, lecz i wskazał, że jest nim Pan nasz Jezus Chrystus”. Był zatem pomostem między Starym i Nowym Zakonem; ostatnim z proroków i pierwszym z apostołów.

Potwierdzeniem jego wielkości była niezwykła zapowiedź narodzenia tego męża Bożego, dziwnymi zjawiskami otoczone jego narodzenie oraz wielkie i budzące podziw całe jego życie. Będzie więc chyba wskazane, że z okazji uroczystości narodzenia św. Jana Chrzciciela, przypomnimy sobie wydarzenia związane z tymi faktami.

Znany z dokładnych relacji św. Łukasz – zaraz na wstępie swojej Ewangelii – wprowadza nas w sedno sprawy, pisząc: „Za czasów Heroda, króla Judei, żył pewien kapłan, imieniem Zachariasz, z oddziału Abiasza. Miał on żonę z rodu Aarona, a na imię było jej Elżbieta” (Łk 1, 5). Wynika z tego, że obydwójce małżonkowie wywodzili się z kapłańskiego rodu Aarona. Miejscem ich zamieszkania – jak podaje tradycja starochrześcijań-

ska – była położona około 7 km na północny wschód od Jerozolimy, dzisiejsza miejscowość Ain Karim, znana również jako „święty Jan w górach”.

Bardzo wysoko ocenia Ewangelista religijno-moralną postawę Zachariasza i Elżbiety, skoro stwierdza: „Oboje byli sprawiedliwi wobec Boga i postępowali nienaganie według wszystkich przykazań i przepisów Pańskich” (Łk 1, 6). Nie zaznali jednak pociechy, będącej największym pragnieniem i najważniejszym celem każdego żydowskiego małżeństwa. „Nie mieli jednak dziecka, ponieważ Elżbieta była niepłodna; oboje zaś byli już posunięci w latach” (Łk 1, 7), co praktycznie całkowicie wykluczało możliwość doczekania się dzieci. Przeżywali więc w osamotnieniu smutne dni, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Bóg poskąpił im tej pociechy. Niepłodność uważana była bowiem u Żydów za karę, zaś liczne potomstwo za znak szczególniejszego błogosławieństwa Bożego.

Właśnie wypadła kolej sprawowania służby Bożej w świątyni na grupę Abiasza, do której należał Zachariasz. Wszyscy bowiem kapłani dzielili się na 24 grupy, z których każda wypełniała swoje obowiązki przez tydzień. Opuścił więc Zachariasz swój dom i udał się do Jerozolimy. W ramach zwyczajnych czynności związanych z kultem – stosownie do przepisów prawa Mojżeszowego – codziennie rano i wieczór, wyznaczony losiem kapłan składał Panu ofiarę z kadzidła. „Kiedy w wyznaczonej dla swego oddziału kolei pełnił służbę kapłańską przed Bogiem, jemu zgodnie ze zwyczajem kapłańskim przypadł los, żeby wejść do przybytku Pańskiego i złożyć ofiarę kadzenia” (Łk 1, 8-9). Ołtarz kadzielnny znajdował się w „miejscu świętym”, gdzie

wchodzić mogli jedynie kapłani. Wszedłszy tam, Zachariasz zbliżył się do ołtarza i rzucił garść wyborowego kadzidła na rozżarzone węgle, a słup wonnego dymu wzbił się ku złocistemu stropowi. „A cały lud modlił się na zewnątrz w czasie kadzenia” (Łk 1, 10).

I wtedy właśnie „... ukazał mu się anioł Pański, stojący po prawej stronie ołtarza kadzenia. Przeraził się na ten widok Zachariasz i strach padł na niego” (Łk 1, 11-12). Chociaż strona prawa była u Żydów dobrą wróżbą, przecież widok tak niezwykłego gościa zatrwożył go. Jednak wkrótce starotestamentowy lęk przed bóstwem i jego objawami przemienił się w radość. Bowiem wysłannik niebios przemówił: „... Nie bój się, Zachariaszu; twoja prośba została wysłuchana: żona twoja Elżbieta urodzi ci syna, któremu nadasz imię Jan. Będzie to dla ciebie radość i wesele; i wielu z jego narodzenia cieszyć się będzie” (Łk 1, 13-14). Rzeczywiście. To, co oznajmił mu anioł, przewyższało wszelkie ludzkie oczekiwania. Stąd też narodzenie niespodziewanego potomka będzie radością dla ojca, że Bóg ulitował się nad nimi. Imię Jan (po hebrajsku Jehohanana), znaczy: „Jahwe był łaskawy”. Narodzenie jego będzie równocześnie powodem do radości dla tych wszystkich, którzy oczekiwali obiecanego przez Boga Zbawiciela.

Uczucie radości przemieniło się w ogromne zdumienie, gdyż anioł wyjawiał Zachariaszowi, jak wielką misję ma spełnić zapowiedziane przez niego dziecko. Według słów postać Bożego, „Będzie bowiem wielki w oczach Pana; *wina i syce-ry pić nie będzie*, i już w łonie matki napełniony będzie Duchem Świętym. Wielu spośród dzieci Izraela nawróci do Pana, Boga ich; on sam pójdzie przed Nim w duchu

i mocy *Eliasa*, żeby serca ojców nakłonić ku dzieciom, a nieposłusznym – do usposobienia sprawiedliwych, by przygotować Panu lud doskonały” (Łk 1, 15-17). O jego wielkości świadczą będzie „napelnienie Duchem Świętym” jeszcze przed narodzeniem, jego pełne wyrzeczeń życie, a zwłaszcza wypełnienie niezwykle ważnej misji poprzednika Chrystusowego.

Przekazana wiadomość była tak nieprawdopodobna, że Zachariasz nie miał odwagi w nią uwierzyć. Wrazem tej wątpliwości i niedowierzania są jego słowa: „Po czym to poznaj? Bo ja jestem już stary i moja żona jest w podeszłym wieku” (Łk 1, 18). Jak niegdyś Abraham, Mojżesz i inni mężowie, domaga się Zachariasz znaków potwierdzających Bożą obietnicę. Znak taki otrzymuje rzeczywiście i to na własnej osobie. Słyszy bowiem z ust anioła: „Ja jestem Gabriel, który stoję przed Bogiem. A zostałem posłany, aby mówić z tobą i oznajmić ci tę wieść radosną. A oto będziesz niemy i nie będziesz mógł mówić aż do dnia, w którym się to stanie, bo nie uwierzyłeś moim słowom, które się spełnią w swoim czasie” (Łk 1, 19-20). Chciał zapewne usprawiedliwić się Zachariasz przed wysłańcem niebios, ale daremnie, bo w jednej chwili utracił mowę. Najprawdopodobniej utracił słuch, gdyż po narodzeniu syna porozumiewano się z nim na migi (por. Łk 1, 62), co byłoby niepotrzebne, gdyby jedynie oniemiał. Spotkała go kara za to, że nie od razu uwierzył Bogu. Była to kara bardzo surowa, ale dawała mu pewność wypełnienia otrzymanej za pośrednictwem anioła obietnicy.

Tymczasem lud zgromadzony na dziedzińcu świątyni oczekiwał na wyjście Zachariasza. Wierni dziwili się zapewne, dlaczego kapłan tak długo pozostaje w świątyni. „Kiedy wyszedł, nie mógł do nich mówić i zrozumieli, że miał widzenie w przybytku. On zaś dawał im znaki i pozostał niemy” (Łk 1, 22). Zachariasz wrócił niemy do swego domu w góry judzkie. Niewątpliwie też powiadomił swą żonę na piśmie o tym, co mu się przydarzyło oraz podzielił się z nią radosną nowiną. „Potem żona jego Elżbieta, poczęła i pozostawała w ukryciu przez pięć miesięcy” (Łk 1, 24).

W pół roku po tym wydarzeniu, archanioł został ponownie posłany

przez Boga na ziemię. Tym razem do dziewicy imieniem Maryja, by zwiastować Jej narodzenie „Syna Najwyższego”, który „Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca” (Łk 1, 33). Zaś na dowód prawdziwości swego poselstwa oznajmia Maryi: „A oto również krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna i jest już w szóstym miesiącu ta, która uchodzi za nieplodną” (Łk 1, 36). W tej sytuacji trudno się dziwić, że niezwłocznie po zwiastowaniu wybrała się Maryja w górzyste okolice Judei, by odwiedzić Elżbietę. Kiedy zaś Matka Syna Bożego zjawiła się w domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę „poruszyło się dzieciątko w jej łonie” (Łk 1, 41).



„Ja jestem Gabriel, który stoję przed Bogiem. A zostałem posłany, aby mówić z tobą i oznajmić ci tę wieść radosną. A oto będziesz niemy i nie będziesz mógł mówić aż do dnia, w którym się to stanie, bo nie uwierzyłeś moim słowom, które się spełnią w swoim czasie” (Łk 1, 19-20)

Według relacji św. Łukasza „Maryja pozostała u niej około trzech miesięcy” (1, 56), czyli do czasu rozwiązania Elżbiety.

Jakkolwiek ewangelista niezwykle szczegółowo przedstawił zapowiedź narodzenia poprzednika Chrystusowego, przecież samo wypełnienie tej obietnicy podaje w bardzo krótkich słowach. Piszze bowiem: „Dla Elżbiety zaś nadszedł czas rozwiązania i urodziła syna” (Łk 1, 57). Na wiadomość o tym niezwykłym wydarzeniu przybyli do domu Elżbiety liczni krewni i znajomi, by złożyć jej gratulacje i wraz z nią cieszyć się jej niezwykłym szczęściem.

Nadszedł wreszcie ósmy dzień po narodzeniu, kiedy – stosownie do przepisu Zakonu Pańskiego – należało obrzezać dziecię i nadać mu imię. Powstał jednak spór między krewnymi i sąsiadami, którzy przybyli na uroczystość. Panował bowiem powszechny zwyczaj, że pierworodnemu synowi nadawano u Żydów imię dziadka, by w ten sposób zachować imię rodowe. Zdarzały się jednak wypadki, gdy ojciec był już starszy, że odstępowano od tej tradycji. W tym wypadku wszyscy byli zdania, że dziecko powinno otrzymać imię Zachariasz. Sprzeciwiała się temu Elżbieta, mówiąc: „Nie, lecz ma otrzymać imię Jan” (Łk 1, 60). Zgromadzeni przyjaciele nie mogli zrozumieć takiego stanowiska matki. Nikt bowiem w rodzinie nie nosił do tej pory imienia Jan. Zważywszy zaś na panujące wówczas zwyczaje rodzinne (liczyło się jedynie zdanie ojca), postanowienie matki mogło zyskać aprobatę tylko przy poparciu ze strony ojca. Ojciec jednak był niemy. Zapytano go więc na migi, jakby chciał nazwać swego syna. Kiedy zaś podano mu tabliczkę powleczoną woskiem, używaną zwykle do krótkich zapisów, napisał na niej słowa: „Jan jest imię jego” (Łk 1, 63).

Znak próby, jakim była utrata mowy – zapowiedziany Zachariaszowi przez anioła, nie był już potrzebny. Dlatego „... natychmiast otworzyły się jego usta, język się rozwiązał i mówił wielbiąc Boga” (Łk 1, 64). „Zachariasz został napelniony Duchem Świętym i prorokował, mówiąc: Niech będzie uwielbiony Pan, Bóg Izraela, że nawiedził lud swój i wyzwolił go” (Łk 1, 67-68). Tak powstał hymn, używany często w liturgii kościelnej.

Uroczystości ku czci świętych obchodzi zwykle Kościół w dzień ich śmierci, będącej dniem narodzin dla nieba i życia wiecznego. Narodzin dla doczesności kalendarz liturgiczny nie uwzględnia. Jedynym wyjątkiem (nie licząc narodzenia Maryi Panny) jest św. Jan Chrzciciel, którego pamiątkę narodzenia obchodzi Kościół jako odrębną uroczystość. Jednak za takim potraktowaniem sprawy przemawiają specjalne racje. Wszak żaden święty nie jest tak ściśle związany z tajemnicą Wcieleńia, jak syn Zachariasza i Elżbiety. Jego narodzenie – zapowiedziane przez anioła – jest gwarantem rychłego przyjścia na świat obiecanego ludziom Zbawiciela.

Życie człowieka jest jak trzy pory dnia

Każda godzina ma swoje odrębne znaczenie. Ale trzy pory dnia: poranek, południe i wieczór są szczególnie uświęcone. (R. Guardini)



Poranek

Poranek świeci silniej i jaśniej niż wszystkie inne pory dnia – jest to początek. Każdego poranka odnawia się tajemnica narodzenia. Budzimy się ze snu, w którym życie nasze odmłodziło się, czujemy jasno i wyraźnie: „Żyję! Jestem”. I to przeżywane życie staje się modlitwą. Zwraca się ono do Tego, od którego pochodzi: „Boże, Tyś mnie stworzył; dziękuję Ci za wszystko, co mam i czym jestem”. I to nowe życie czuje swą siłę, przebiega do działania i zwraca się do Boga modlitewnie przy nadchodzącym dniu: „Panie, w imię Twoje i z Twojego nakazu zaczynam ten dzień. Niech wypełni go praca dla Ciebie”.

To jest święta godzina poranka. Budzi się życie, świadome swego istnienia składa Bogu czyste dziękczynienie. Podnosi się do nowej twórczości i zwraca do codziennej pracy, pochodzi od Boga i działa z Bożej mocy. Jak wiele zależy od pierwszej godziny dnia! Ona jest jego początkiem. Moż-

na go jednak zacząć bez tego wstępu, zacząć bezmyślnie i bezwolnie. Wówczas nie będzie to prawdziwy „dzień”, lecz tylko szmat czasu bez sensu i bez wyrazu. Dzień jest drogą – musi mieć jakiś kierunek. Dzień jest działaniem, które wymaga impulsu woli. Dzień jest całym życiem, a życie twoje, człowieku, jest jak dzień. Poranek daje wolę, wytycza kierunek działania i pozwala spoglądać jasnym wzrokiem.

Południe

Życie zaczyna się o poranku, najpierw pnie się w górę szybko i radośnie, później gromadzą się przeciwności, wstępowanie staje się wolniejsze, wreszcie osiąga szczyt – południe i spoczywa na krótko. Następnie zaczyna schodzić w dół, coraz bardziej zmęczone, a wreszcie zapada w ciszę nocy. W środku, między początkiem a końcem, na szczytowej wysokości dnia, krótka cudowna chwila – południe. Życie jeszcze nie ogląda się za przeszłością, ale już nie pnie się w górę. Schodzenie w dół jeszcze się

nie zaczęło... Zatrzymuje się, lecz nie jest zmęczone. Mimo że stoi w miejscu, zachowało pełnię sił do dalszego marszu. Zatrzymało się w teraźniejszości, a jego spojrzenie ogarnia szeroki horyzont – ono sięga nie tylko w przestrzeń i czas: ono sięga w wieczność. Jak głęboka jest chwila południa! Nie odczuwasz tego w mieście, gdzie nie ma przerwy w zgiełku, gdzie nie ma ciszy. Ale przejdź przez pola szumiące zbożem, albo przez ciche wrzosowisko – latem, gdy słońce stoi w zenicie, a wszystko w krąg drga od żaru. Stajesz i zatracasz rachubę czasu. Spogląda nie ciebie wieczność. Wieczność przemawia o każdej porze, ale graniczy z południem. Wtedy czas staje i odsłania swe tajemnice. Południe to teraźniejszość, to pełnia dnia. Pełnia dusz. Bliskość wieczności... Z oddali rozlega się dzwon na *Anioł Pański*... Głosi w ciche południe słowo Zbawiciela: „Na początku było Słowo, a Słowo było w Bogu i Bogiem było Słowo...”.

Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Św. Maryja

Sens życia

„Każdy ma swoją jedyną melodię istnienia”



Ludzie od początku istnienia na Ziemi zastanawiali się nad sensem swojego bytu. „Kim jest człowiek?” i „Jaki jest sens życia ludzkiego?” – odpowiedzi na te pytania szukano w religii, filozofii, psychologii, socjologii i w literaturze. I były one różne, zależne od czasu, miejsca i sytuacji osoby, która takie pytanie zadała.

W starożytności Sokrates twierdził, iż każdy powinien starać się poznać samego siebie, bo tylko wtedy może postępować dobrze, a tym samym osiągnąć dobro najwyższe i cel swojego życia – cnotę. A do cnoty można dojść poprzez naukę.

Horacy powiedział: „Carpe diem” („chwytaj dzień”) i ta myśl przyświeca wielu ludziom do dziś jako przewodnia. Horacy potrafił we wszystkim dostrzec

piękno, namawiał do korzystania z wszelkich dóbr, jakimi obdarowuje nas życie, stosując zasadę „złotego środka”: rozumu i umiarkowania w korzystaniu z wszelkich dóbr materialnych. To pozwoli na osiągnięcie szczęścia.

Późniejsi, średniowieczni myśliciele ponad wszystko stawiali Boga. Panował teocentryzm, podporządkowanie wszystkiego Bogu i w tym poszukiwanie źródła szczęścia.

W epoce renesansu za cel życia stawiano sobie dążenie do szczęścia w młodości, a w wieku dojrzałym usatysfakcjonowanie się i spokój. Takie poglądy głosił m.in. Jan Kochanowski, który jako dworzanin możnowładców doświadczył radości życia dworskiego z jego żartami i swobodą. Dostrzegał jednak obłudę i zakłamanie takiego ży-

cia, dlatego szybko wycofał się z niego i osiadł w swym majątku w Czarnolesie, gdzie odnalazł spokój i harmonię. W swoim życiu Kochanowski pragnął bliskości Boga i Jego opieki, dziękując Mu za piękny dom, zdrowie, za natchnienie:

*Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje;
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje!
Inszy niechaj palace marmórowe mają
I szczerem złotogłowem ściany objiją,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gniaździe
ojczystym
A Ty mi zdrowiem opatrz i sumnieniem czystym,
Pożywieniem uciwim, ludzką zyczliwością,
Obyczajami znośnymi, nieprzykrą starością.*

Kartezjusz, barokowy filozof, jest autorem słynnej sentencji: „Myślę, więc jestem”. Jego zdaniem istotą człowieczeństwa jest fakt myślenia i rozumowania, posiadanie kultury oraz zdolności do jej tworzenia. Najwyższą wartością dla człowieka epoki romantyzmu było szeroko rozumiane poczucie wolności i w jej obronie gotów był znosić wszelkie cierpienia. Miłość, walka i misja nadają jego życiu sens. Bohater romantyczny kocha swoją

odrzekła: „Oto ja służebnica Pańska. Niech mi się stanie według słowa Twego”.

A Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami...

Onego czasu nadeszło południe – „pełnia czasu”. I był człowiek, którego ogarnęła ta pełnia – Maryja. Nie spieszyła się, nie wybiegała w przyszłość. Tkwiła w pełni czasu, w czystej teraźniejszości, otwarta dla wieczności i czekała... I wieczność zniżyła się, przyszło Zwiastowanie. Wieczne Słowo stało się Ciałem w Jej czystym łonie.

Dzwon oznajmia tę tajemnicę naszym dniom. W południe chrześcijańskiego dnia odżywa na nowo tajemnica południa ludzkości. Po wsze lata rozbrzmiewać będzie pełnia czasu. Całe nasze życie winno graniczyć z wiecznością. Zawsze powinna być w nas cisza, która słucha i otwarta jest wieczności. Ale życie zagłusza ją. Toteż winniśmy przynajmniej w uświęconej porze południa, gdy dzwonią na Anioł Pański, odsunąć na bok wszystko, co nam przeszkadza, stanąć w ciszy i słuchać wieści o tym, że „Słowo wieczne, gdy wszystko leżało pogrążone w głębokiej ciszy, zeszło z królewskiego tronu”. Tylko jeden raz w historii ludzkości, lecz ciągle na nowo do naszych dusz schodzi.

Jak głęboko można w tej chwili zjednoczyć się z innymi, którzy stoją – tak jak my przepełnieni ciszą! Można osiągnąć tę wspólnotę i wyrazić ją w Pozdrowieniu Anielskim.

Wieczór

I wieczór posiada swoją tajemnicę – śmierć. Dzień ma się ku końcowi, człowiek przygotowuje się do wejścia w ciżbę snu. Poranek wypełniony jest poczuciem siły odnowionego życia; wieczorem życie jest zmęczone i szuka spoczynku. W tym właśnie kryje się tajemnica śmierci. Często jej nie dostrzegamy, nasz umysł wypełniają jeszcze obrazy życia, trzymają go w napięciu pragnienia i plany na dzień przyszły. Czasami budzi się w nas ciche, dalekie przeczucie. Ale przychodzą też dni, w których czujemy, że życie skłania się w stronę tej wielkiej ciemności, „gdzie nikt nie może już działać”. Wszystko zależy od tego, czy rozumiemy tajemnicę śmierci. Umrzeć znaczy nie tylko przestać żyć... Umrzeć, czyli złożyć ostatnią daninę ze swego życia, to najbardziej decydujący o wszystkim czyn.

Wydarzenie w życiu jednostki czy narodu nie jest czymś skończonym czy ostatecznym. Dużo zależy od tego, co człowiek czy naród przez to wydarzenie osiągnął. Od tego, jak się ustosunkuje do danego faktu, zależy czy będzie on czymś dobrym, czy złym. Wyobraź sobie, że jakiś naród doznał klęski wielkiego zniszczenia. Taki jest fakt, ale na tym nie koniec. Naród może poprzestać na rozpacz, ale może też rozpocząć budowę nowego życia. Dopiero wtedy następuje ostateczne zakończenie tego, co już dawniej się wydarzyło. Śmierć jest w istocie ostatnim słowem, którym człowiek zwraca się

do minionego życia, nadaje mu ostateczny kształt. Chodzi tu o wielką decyzję: albo człowiek uchwyci jeszcze raz w dłonie całe swoje życie i w skruczę przetopi to, co było złe, dziękczynieniem i pokorą złoży hołd Panu za wszystko – dobro, którego doznał, a wtedy wszystko zatraci się w bezgranicznym oddaniu się Bogu – albo też człowiek popadnie w rozpacz i pozwoli życiu stoczyć się w życie wieczne bez godności i mocy. Takie życie nie posiada zakończenia, ono tylko ustaje, nie ma ostatecznego kształtu i wyrazu. Wielką sztuką jest umieranie. Sztuką zamknięcia minionego życia w słowach: „Bądź wola Twoja...” Bacz więc, aby każdy wieczór był ćwiczeniem się w tej wielkiej sztuce umierania, która nadaje całej przeszłości ostateczną wartość i ustala kształt wieczysty.

Wieczór to pora kończenia. Stajemy przed Bogiem z przeczuciem, że kiedyś staniemy z Nim twarzą w twarz, aby złożyć ostatni obrachunek. Czujemy, co zawierają słowa: „Stało się”. Dobro, zło: strata i marnotrawstwo. Wracamy do Boga „dla którego wszystko żyje”, przeszłe i przyszłe, który może obdarzyć okazującemu skruczę nawet tym, co stracił. I przed Nim nadajemy minionemu dniowi ostateczny kształt. To, co w tym dniu było złe, napelnia żalem... Pokorne, szczere dziękczynienie za wszelkie dobro niweczy próżność. Wszystkie rozterki, niedostatki, nędze i utrapienia toną w niezachwianej ufności we wszechmocną miłość Bożą.

ojczyznę i jest dla niej gotów poświęcić życie.

Niektórzy jednak szukali sensu życia gdzie indziej. Odnajdywali go w pracy. Była ona kryterium wartości człowieka w okresie pozytywizmu. W „Nad Niemnem” E. Orzeszkowej postaci pozytywne: Bohatyrkowie, Benedykt, Marta i Justyna szanują swoją spuściznę narodową, bliskie są im idee wyzwolenie, pamiętają o wielkości dawnej Polski i starają się swoimi działaniami tę wielkość odrodzić. Wszyscy, którzy nie trawia bezmyślnie czasu na próżniactwie, odnajdują spokój ducha i poczucie własnej wartości. Najlepiej przedstawieni są ci, którzy niewiele posiadają pod względem materialnym, ale są przyjaźnie nastawieni do otoczenia, wielkoduszni, życzliwi, doceniają wagę uczuć i są użyteczni społecznie. Takie życie czyni ich szczęśliwymi. Ci natomiast, którzy żyją jak pasożyty, nic z siebie nie dając, są nieszczęśliwymi, rozgorzconymi osobami. Oni nie znajdują celu swojego istnienia.

Również świat Bogumiła Niechcica, jednego z bohaterów „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej, określa przede

wszystkim pracą. To właśnie ona staje się jego szansą na odnalezienie swojego miejsca w świecie, pozwala osiągnąć spokój, godzi go z życiem, jest źródłem mądrości. Zgodnie z zasadą „carpe diem” stara się żadnej chwili swojego życia nie zmarnować, pracy nadając wyższy wymiar. Z każdego dnia pracy czepie radość, to ona daje mu szczęście.

Wiele cennych wskazówek, nakazów pomagających nam zrozumieć i określić, co jest w życiu najważniejsze, odnajdujemy w utworze „Przesłanie Pana Cogito” Zbigniewa Herberta. Imię Cogito nawiązuje do słów Kartezjusza: „Cogito ergo sum” (myślę, więc jestem). Pan Cogito to człowiek myślący, kierujący się w życiu rozumem. W wierszu tym zawarta jest przestroga przed byciem biernym w obliczu zła, terroru, zakłamania i zniewolenia panującego w świecie. Musimy umieć wykorzystać wiedzę czerpaną z historii, legend i bajek, by być wiernym, odważnym i silnym. Trzeba śmiało wygłaszać własne poglądy, nie uginać się, być „wyprostowanym wśród tych, co na kolanach”.

Bez względu na konsekwencje służyć prawdzie i etyce. Należy iść do przodu, ponieważ przystanek to przyzwolenie na bierność, a krocząc odkrywamy, poznajemy, tworzymy, doskonalimy się, doświadczamy, czyli stajemy się bogatszymi i mądrzejszymi. Nie wolno również zapominać o uczuciach podstawowych: miłości, współczuciu, przyjaźni, więzi z człowiekiem i przyrodą. Jedynie tradycja, kultura, wzory postępowania i kodeks moralny mogą być oparciem. Są one nośnikami niemodnych już dziś wartości, takich jak: godność, duma, odwaga, wierność, tolerancja i niezależność. Ostateczne polecenie Pana Cogito brzmi: „Bądź wierny. Idź”.

Każdy z nas sam szuka sensu życia. Na swojej drodze popełniamy błędy, szukamy rozwiązań idealnych, gdyż ciągle wierzymy, że takie istnieją. Miłość, praca, poświęcenie ojczyźnie – możemy uczynić je celem naszego istnienia. **A kiedy już znajdziemy sens życia, słońce, naley dochować jej wierności, podążać raz obraną drogą, bez względu na przeciwności losu.**

Pozwólmy dzieciom być dziećmi

Młode pokolenie dziewcząt dorasta pod niespotykaną do tej pory presją, aby dorównać ideałom piękności lansowanym przez współczesną kulturę. Skupienie uwagi na atrakcyjności fizycznej nie jest niczym nowym. Dziewczynki zawsze dbały o urodę i stroiły się. Ale dawniej sukces towarzyski osiągało się nie tylko dzięki wyglądowi.

Sprowadzenie wizerunku kobiety jedynie do jej atrakcyjności fizycznej przekroczyło zaś dzisiaj wszelkie normy i ma negatywny wpływ na to, jak postrzegają siebie dziewczęta, które w oparciu o medialny przekaz kształtują swoją tożsamość. Znane są powszechnie skutki tego zjawiska: zaburzenia odżywiania (anoreksja, bulimia), obsesyjne diety, masowa moda na operacje plastyczne, spadek ambicji dziewcząt, mniejsze poczucie własnej wartości, z której rodzi się depresja. Zmieniają się też negatywnie zachowania chłopców. Postrzeganie dziewcząt w uprzedmiotowiony sposób prowadzi do wzrostu agresji wobec nich – zarówno słownej jak i fizycznej. To z kolei utrudnia budowanie trwałych relacji opartych na wzajemnym szacunku i odpowiedzialności, a w konsekwencji prowadzi do osłabienia więzi międzyludzkich i rozpadu rodziny.

Naukowcy alarmują, że do wielu dziedzin naszego życia – począwszy od telewizji, teledysków, tekstów piosenek, kreskówek po gry komputerowe, internet, kosmetyki czy dziecięce zabawki przeniknęła erotyzacja, która ma bardzo negatywne konsekwencje.

Zaczyna się od dzieciństwa – czytamy w *Rzeczpospolitej* z 21 marca br. Brazy, po Barbie najpopularniejsza lalka na świecie, uosabia grupę dziewczynek zainteresowanych modą, chłopcami, muzyką i przede wszystkim własnym wyglądem. Laleczka nosi wyzywające ubrania, minispódniczki z piórami, kabaretki. W reklamach ubrana w bikini siedzi



w jacuzzi albo stoi nieruchomo i miesza drinki. Obok aktywne chłopaki grają na gitarze albo trzymając deski, szykują się do windsurfingu. Taki wizerunek tworzy też twórca Barbie. Z poczciwych, pulchnych, proszących się o przytulenie lalek trolli zrobiono nowe wcielenie – „Trollz”. Pełne usta, ogromna fryzura, minispódniczka i goły brzuch.

Wejście do działu dziewczynek w markowych sklepach upewnia, że pierwszą rzeczą, o którą od wczesnego dzieciństwa powinna zadbać sześciolatka, jest atrakcyjny wygląd. Proponowany dla niej strój to miniatura ubrań z działu dla dorosłych. Spódniczka mini, balerinki z cekinami, sweterki obszyte futerkiem, bluzeczki w panterkę, obcisłe dżinsy. W 2011 r. francuski magazyn mody zamieścił sesję zdjęciową, do której pozowały trzy sześciolatnie modelki. W mocnym makijażu, obwieszone biżuterią, w wieczorowych toaletach. Zaprotestowały środowiska psychologów, pedagogów i portale rodziców uznając, że przekroczono granicę.

Znane są konkursy piękności dla dziewczynek, organizowane przez amerykańską telewizję, w których czterolatki występują w pełnym makijażu, na obcasach, w dorosłych fryzurach, obwieszone biżuterią. – Za to są oceniane, ku dumie i radości matek, które miesia-

cami przygotowują je do występu przed kamerami.

„Producenci ubrań sprzedają dziewczynkom osobowość – piszą amerykańscy naukowcy. Jednego dnia możesz być punkiem, drugiego wyglądać niewinnie. Dziewczynkom trudno będzie odnaleźć swoją wartość inaczej niż poprzez eksponowanie swojego wyglądu”. Podobne obrazki widzą dzieci w kreskówkach. Bohaterki filmów Disneya: Mała Syrenka czy Pocahontas przyciągają uwagę wielkimi dekolantami i skąpymi strojami. To już nie te dziewczęce Królowy Śnieżki czy Kopciuszki z lat 70.

W magazynach kierowanych do nastolatków przekazywane w nich treści skłaniają je do myślenia o sobie wyłącznie w kategoriach obiektów męskiego zainteresowania. Co pociąga go najbardziej, czego należy unikać, aby go zdobyć? Jak go zatrzymać? Świat tych magazynów to miejsce, w którym kobieta nieustannie konsumuje, upiększa się i poluje na mężczyznę. Zabarwienie erotyczne ma też sport. Bardziej niż wysiłek i wyniki liczy się wygląd. Na okładkach pism sportowych zawodniczki przedstawiane są w prowokacyjnych strojach lub fotografowane tak, by zwrócić uwagę na ich figurę.

Amerykański nastolatek ogląda telewizję przez trzy godziny dziennie. Ze wszystkich mediów – kina, telewizji, radia, Internetu, komórki –

Podróż jako terapia

Kiedy wydaje się, że nic ci w życiu nie wychodzi – podróżuj, mówią psychologowie. Znajdź swoją ulubioną trasę i ruszaj w nią, a zyskasz nową perspektywę. Podróżowanie to nie ucieczka od kłopotów, ale znana i uznana terapia (czytamy w GWz 1 marca 2013 r.).

Podróż potrafi uleczyć najgłębsze rany, rozwiązać najbardziej skomplikowane problemy. Terapia podróżą stosowana jest z powodzeniem od czasów Zygmunta Freuda, znanego psychoanalityka. Koncepcja, że trzeba gdzieś wyjechać, aby z innej perspektywy przyjrzeć się aktualnie dręczącemu nas problemowi, jest koncepcją starą i dobrze udokumentowaną. Podróże mają bowiem magiczną moc uzdrawiania duszy. Pomagają zdystansować się do problemów dnia codziennego. Nie rozwiązują ich bezpośrednio, jednak pomagają przewartościować i spojrzeć na nie z innego punktu widzenia. Psychoterapeutka Iwona Kocharńska w swej praktyce często ucieka się do takiej formy terapii. Organizuje ludziom wyprawy, często zapisują się na nie całe zakłady pracy. Podróżują po Polsce, ale także zagranicę.

Co się robi podczas takiej terapeutycznej podróży? Nie trzeba wiele, wystarczy po prostu znaleźć się w nowej sytuacji, w sytuacji podróźnego. – Dajemy odpocząć zmęczonemu mózgowi, bo absorbujemy go czymś zupełnie nowym. Bo trzeba znaleźć nagle rozwiązania dziesiątek innych problemów. Umysł odciążony szukaniem rozwiązań tych nowych problemów, zaabsorbowany czymś innym podświadomie znajduje rozwiązanie tych właściwych problemów.

„Ludzie dzielą się na tych, którzy podróżują, i tych, którzy podróżują. Osobiście nie poznałam człowieka, który nie byłby podróżnikiem” – pisze na swoim blogu psycholog podróży Wiktoria Kopeć. Podróżowanie mamy we krwi – przekonuje dalej. Nie da się od tego uciec: „Każdy z nas zaczyna swoją wyprawę od dziewięćmiesięcznych przygotowań, by po



ciężkiej przeprawie ze środowiska wodnego wyjść na ląd. Od tego momentu całym sobą zaczynamy poznawać świat”.

Pierwszym etapem podróżowania jest dzieciństwo. Przeprowadza nas przez nie „ciekawość, dzięki której nabieramy siły i wiedzy. W pewnej chwili orientujemy się, że stoimy na rozdrożu życiowej wędrówki. Trzeba zdecydować, którą z dróg iść dalej. W takich momentach możemy wyciągnąć mapy dobrych rad, przewodniki norm społecznych lub szczegółowo opracowany plan naszej trasy. Możemy też zdać się na nasz wewnętrzny kompas i podążać za jego igłą”.

Psychologia mówi, że najlepsze dla naszego rozwoju są długotrwałe podróże. Im wędrowanie trwa dłużej, im ciekawsze są kolejne etapy, tym lepszą zyskujemy perspektywę, by spojrzeć na życie. – Naprawdę nieważne, czy

wędrujemy bezdrożami polskich wsi, gubimy się w Puszczy Białowieskiej, czy przedzieramy się przez Andy – mówi psychoterapeutka. Z każdym krokiem zdobywamy też dodatkową wiedzę o sobie, swoich mocnych stronach i słabościach. No i cel. W każdej podróży trzeba go sobie wyznaczyć. To jest jądro naszego wędrowania.

Ale właściwie dlaczego podróżujemy? Psycholodzy przekonują, że szukamy ciągle nowych wrażeń, potrzebujemy adrenaliny związanej z poznawaniem nowych miejsc, że dystansujemy się wtedy do problemów. Poza tym podróże są przyjemnością, na którą chcemy sobie pozwolić. Wyruszając w trasę – zaopatrzeni w plan, znając cel wędrówki – fundujemy organizmowi zastrzyk dobrej energii. Im bardziej trasa jest magiczna, tym lepiej. Organizm się ładuje, mózg oczyszcza z niepotrzebnych obciążeń, problemy – widziane z oddali – nabierają właściwych proporcji.

Bo droga leczy. Wszystko, czego trzeba, to wyruszyć w podróż jedną ze swoich magicznych tras. Są trasy niezwykle, pełne egzotyki i monumentalnych zabytków, i są zupełnie zwyczajne, które magii nabierają dopiero wtedy, kiedy ruszamy nimi w drogę – poprzez to, co się na nich wydarza.